

## **Ach, co za piękny widok**

**Ma czterdzieści sześć lat. Niektórzy mówią, że z wyglądu przypomina nieco warszawiaka (taki drugi Mariensztat). Zadbany (malkontenci zazdroszczą mu niedawnego liftingu), oświecony, z pewną nutą kresowego sentymentu (lew lwowski) w dodatkach, lubi muzykę, gościnnie, dusza towarzystwa -jak trzeba, przyjmie nawet czterdziestotysięczny tłum. Taki jest plac Zamkowy.**

Ale to jego drugie życie. Pierwsze mościło się przez całe wieki pod królewskim zamkiem, uwiło wokół niego mieszczańską stabilizację i skończyło nagle, zostawiając po sobie niestrawione przez zagładę resztki. Kiedy jeszcze słychać było wśród ruin chichot demona, brygady złożone z setek żylastych rąk zaprawionych do kosy i łopaty przygotowywały umarłe miejsce do nowego życia. Na dziesięciolecie PRL w rodzinnym Lublinie Bolesława Bieruta miał stanąć pomnik nowych czasów - plac z wieńczącymi go od strony Starego Miasta kamienicami.

### **Człowiek nie spał tylko myślało budowie**

Mieczysław Popiołek, ówczesny prezes Spółdzielni Usług Budowlanych i Konserwatorskich miał pełne ręce roboty. Miasto szykowało się do uroczystości w tempie gigantów socjalistycznego współzawodnictwa, prace porządkowe i budowlane trwały niespełna pół roku. Załoga prezesa Popiołka miała za zadanie odnowić kilka kamienic przy ulicy Grodzkiej.

Robert Kuwałek, historyki pracownik Muzeum na Majdanku, wywołuje duchy. Tam, gdzie dzisiejszy plac, do 1942 roku bił puls żydowskiej dzielnicy. Ulica Szeroka numer dwadzieścia osiem - tam mieszkał słynny cadyk Jakub Icchac Horowic zwany Widzącym z Lublina, a po nim modlili się w tym miejscu chasydzi. Albo Szeroka czterdzieści, gdzie cudu zaznała pewna niepłodna Żydówka. Przyszła wraz z mężem po ratunek do cadyka Eigera, który był właścicielem tej kamienicy. Cadyk podumał, nakazał małżeństwu zamieszkać u niego, no i wkrótce posypały się dzieciaki... Szeroka była centrum religijnym i handlowym dzielnicy. Towarzyszyły jej: Nadstawna z licznymi chederami, nazywana przez mieszkańców Zaułkiem albo Uliczką, biegła tędy, gdzie dziś stoją kamienice wyrosłe na oczach Mieczysława Popiołka w 1954 roku, potem Furmańska z furmanami i jatkami, i Zanikowa wiodąca od Bramy Grodzkiej aż do Zamku. Ulice nie miały kanalizacji, opowiada Robert Kuwałek, a dopiero pod koniec dziewiętnastego stulecia doczekały się bruku.. Lżej chodziło się nosiwodzie, który za dziesięć groszy od wiadra tachał wodę ze studzienki zachowanej do dziś na dworcu PKS. Nosiwoda miał sąsiadów: szesnastoletnia Chawa służyła u bogatych, jej młodszy brat Josek sprzedawał wodę z cytryną na szklanki. Tamte ballady uliczne

usłyszeć można jeszcze w Teatrze NN, usadowionym w Bramie Grodzkiej, zwanej także Żydowską, miejscu jak najbardziej godnym, by móc zbierać okruchy pamięci.

A Robert Kuwałek opisuje koniec;

- Dzisiejszy plac to było centrum getta. Tu Niemcy zwozili Żydów z innych części Polski, z Łodzi, Sieradza, Kalisza, no i oczywiście z całego Lublina i okolic. W marcu 1942 roku większość mieszkańców wywieziono do Bełżca. W kwietniu poszła wieść, że pozostali Żydzi pracujący dla Rzeszy mają przenieść się na Majdan Tatarski, w sumie ponad cztery tysiące. Żydzi uwierzyli, że to jakaś szansa dla nich, a chodziło o to, żeby wykurzyć spod Zamku wszystkich ukrywających się na strychach i w piwnicach. Pierwsi burzyli dzielnicę żydowscy więźniowie Majdanka. Po Szerokiej zostało rumowisko. Nieprawdą jest, jak twierdzą niektórzy, że Niemcy palili domy tej części miasta dla dezynfekcji.

Ostatni sprzątało rumowisko junacy w dziesięć lat po wojnie, spiesząc się na lipcowe obchody okrągłego jubileuszu Polski Ludowej. Majster Popiołek, jako znawca budowlany, zaglądał w każdą dziurę. Oczywiście, kiedy miał czas. A przeważnie go nie miał. Każdego dnia rano meldował się w ratuszu na naradzie wykonawców z władzami. Te konferencje pomagały w przyspieszeniu dostaw materiałów, planowały postęp robót, chwaliły i ganiły.

- Człowiek nie spał, tylko myślał o budowie - charakteryzuje tamten styl pracy Mieczysław Popiołek. - Furmankami materiały się woziło, a nie tak jak dziś samochodami. Tych ludzi, co tak umieli pracować, też już nie ma. Nikt nie patrzył na godzinę i dlatego wydajność była inna. Podobno sam Bierut przyjeżdżał na budowę, wchodził na rusztowanie i sprawdzał, czy solidne tynki. Ludzie mówili, że przy okazji zrobił władzom straszną awanturę za to, że wpakowali się w Ogród Saski z tym domem partii.

Budowa musiała być widowiskowa. Doglądało ją przecież nie tylko oko samego Bolesława Bieruta, ale i cała Polska.

Widział to i słyszał Czesław Wadowski mieszkaniec ulicy Grodzkiej 36 a, wejście do kamienicy od placu, ślusarz, przodownik pracy z Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych (w nagrodę jego portret wisiał w sklepie mięsnym na skrzyżowaniu Krakowskiego i Szopena).

- Na Grodzką przeprowadziliśmy się z żoną i synem z Kunickiego, z sublokatorskiego pokoju. Tu byliśmy pierwszymi lokatorami. Mieliśmy pokój z kuchnią, niebo do ziemi niepodobne. Wokół ruch był wielki. Wszystko rozkopane, chodziło się po deskach. W nocy mało spaliśmy, bo wywozili resztki pozostałych po dzielnicy żydowskiej fundamentów. Nie było przejścia na Kowalską i Podwale. Praca dzień i noc na okrągło. Człowiek nawet nie wierzył, że to wszystko zdążą zrobić. Przepustki były. Kręcić się nie było można. Ludzie szukali złota. Myśleli: oho, po Żydach na pewno coś jest. Nie wiem. Widziałem tylko, jak czasem któryś robotnik coś wkładał do kieszeni, ale czy to akurat było złoto?

## **Tita szalala**

Czesław Wadowski widział też, jak tuż po wojnie z zamkowej skarpy ekshumowano ciała pomordowanych przez Niemców więźniów i zawieszono je na cmentarz przy ulicy Lipowej. Obok na skarpie stały komórki dla królików. Króliki hodowali powojenni więźniowie Zamku. Więzienie istniało do 1954 roku. Kiedy porządkowano plac, rozebrano także piętrowy budynek jego dawnej administracji.

- Tu było całkiem inaczej - zamyśla się Czesław Wadowski. - Ta skarpa inaczej wyglądała. Podjazd wił się kręto pod Zamek.

Tamtą wijącą się drogą chodził z matką w czasie wojny, żeby dać ojcu paczkę ze smalcem, chlebem przekrojonym na pół i cebulą. Ojciec Wadowskiego pracował jako portier w Fabryce Maszyn Rolniczych. Kto pamięta, że w fabrycznej łaźni kąpali się jeńcy, których rychło miano wywieźć do Rzeszy, doprowadzani tam z ulicy Młyńskiej? Niemiecka eskorta stała przed budynkiem. Paweł Wadowski z kolegami podrzucali czasem ubrania i umożliwiali ucieczkę. Za to Niemcy go capnęli i osadzili na półtora roku w Więzieniu. Czesław Wadowski czuje na plecach ten lód strachu, który przenikał go w przedsionkach Zamku, kiedy strażnik odrzucał paczkę dla ojca. Truchleli z matką podejrzewając najgorsze: że ojciec nie żyje. Ale Paweł Wadowski zdążył przed masakrą.

Ojciec Krystyny Nyrki był przed wojną bankowcem (Bank Gospodarki Krajowej w Lublinie), w czasie okupacji akowcem i to wystarczyło, żeby z piętnem P jak polityczny wysłać go na Zamek. Krystyna, tuż przed wojną uczennica szkoły kanoniczek, nosiła mu wraz z matką paczki. Pewnego razu Niemcy poszczuli je psami. Już bestie chciały rzucić się, rozszarpać, kiedy nagle zatrzymały się, obwąchały i pomerdały ogonami, czując znajomy psi zapach. W domu Krystyny mieszkały przecież psy. Dwa buldogi: Tita i Tresa.

- To Tita, w dniu, kiedy aresztowano ojca, przesiedziała cały dzień w kuchni, a z oczu płynęły jej łzy - wspomina Krystyna Nyrka.

Z więzienia na Zamku ojciec pani Krystyny pojechał do Oświęcimia. Zamknięto go w celi sąsiadującej z celą Maksymiliana Kolbego. W dniu, gdy go zabito (telegram oznajmiał, że umarł na tyfus), Tita szalala.

## **Kława robota**

- Więc tamta droga na Zamek była drogą strachu. Ta, z którą tak spieszo się na lipiec, drogą triumfu. Murarze, cieśle, kamieniarze, sztukatorzy zdążyli na czas.

- Wszystkie elewacje wyszły na medal - chwali Mieczysław Popiołek, zaznaczając, że jubileuszowe porządki objęły zaledwie część staromiejskich kamienic i podwórek. - Mazowsze przyjeżdżało nam śpiewać. A na obchody dziesięciolecia zjechała władza z Warszawy i delegacją z ZSRR z towarzyszem Bułganinem na czele.

Trybuna stanęła pod zamkowymi schodami. W mieszkaniu Popiołków na Archidiakońskiej i Wadowskich przy Grodzkiej 36 a zameldowali się funkcjonariusze UB. Przez nasz plac nazwany placem Zebrań Ludowych przeszła pokojowa manifestacja, były przemówienia, a od strony Podwala, po prawej stronie skarpy rozsiadła się wystawa rolnicza. Usłyszała o tym wszystkim przez radio cała Polska. W domu Wadowskich służył philips w bakelitowe skrzynce – prezent od dyrekcji fabryki za przodownictwo pracy. Weronika Wadowska pamięta rajski ogród, który tworzyła aleja wysokopiennych róż i klomby, las drzew owocowych, wysadzanych ze skrzyń i małe jezioro dla dzieci, wkrótce zasypane przez chuliganów. Wystawa maszyn i płodów ziemi prezentowała się okazale.

- Zgłosili się do mnie, że jest klawa robota, można zarobić – mówi Aleksander Szrift, wówczas młody architekt z Warszawy, absolwent Politechniki Warszawskiej, asystent profesora Szymona Syrkusa i jego żony Heleny, również parającej się architekturą. - Cała grupa młodych architektów i plastyków wyruszyła do Lublina z zadaniem przygotowania wystawy. Czasu było bardzo mało. Robiliśmy plansze, tablice, liternictwo. Przez tydzień zarobiłem tyle, co w trzy miesiące normalnej pracy. Ale dla mnie ważne było to, że pracowałem w Lublinie. Bo to był mój Lublin.

Bo ten młody architekt Szrift to wnuk owej Żydówki, której Wszzechmocny cudownie otworzył łono w kamienicy cadyka Eigera, Szeroka numer czterdzieści. A jego kołyska, jak opowiada, stała już w kamienicy przy Dolnej Panny Marii. Ojciec, nauczyciel, ożenił się po śmierci matki Aleksandra powtórnie, a kiedy wybuchła wojna, nie zabraniał synowi ucieczki do Związku Radzieckiego. Aleksander przewędrował wielkie połacie - Białoruś, Ukrainę, Uzbekistan. Wylądował w taszkencie. Tam zaczął się w instytucie Pedagogicznym, bo dawali dach nad głową i sześćset gramów chleba na dzień. Trzeba było tylko zdać na wstępie egzamin z konstytucji stalinowskiej, co też mu się udało. Do Lublina wrócił jako repatriant w 1946 roku. Z rodziny nikt nie ocalał. Potem Warszawa, studia, decyzja o wyjeździe do Izraela. Polska dzielnicą Tel Awiwu, zwana Gomułkowo (osiedlali się tam Żydzi od 1956 roku emigrujący z Polski), własna pracownia - projektował między innymi gmachy szpitali. Chwali osiągnięcia polskich architektów w konkursach na nowe obiekty w Izraelu. Przewodniczy Komitetowi Lubelskiemu w Izraelu.

## **Kobiety miasta**

To, co zrobił wraz z kolegami młody asystent profesora Syrkusa, oglądała potem Zosia Popiołek, córka prezesa Popiołka. Z wystawy zapamiętała tylko fontannę z rybką. Paweł Bryłowski też oglądał widowiskową fontannę, ale rybki za nic nie może sobie przypomnieć.

Ucichł gwar jubileuszu. W kamienicach zamykających plac od strony Starego Miasta osiedlili się przeważnie zaci robotnicy (bo przecie było to na owe czasy miejsce elitarne, więc nie dla byle kogo). W powtarzającym się fragmencie z łagodnie zarysowanym poddaszem Robert Kuwałek dopatruje się architektonicznego wspomnienia jednego z domów z ulicy Szerokiej - rzecz warta zbadania. Trochę później, na wiadukcie łączącym Bramę Grodzką z Zamkiem zawisł ekran, w związku z czym dzieciaki i starsi mieli w latach sześćdziesiątych kino pod nosem.

- Jak film wyświetlali, dzieciarnia na skarpie siedziała - wspomina Czesław Wadowski.

Zosia Popiołek biegła przez plac do szkoły na Czwartek, dawny przodownik pracy z Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych stawiał na honorowym miejscu pierwszy w kamienicy telewizor Koral, a Zamek, jako placówka kulturalna, rodził talenty.

Plac i ludzie zapamiętali Irenę Szychową. Kobiętę niezwykłą. Była szoferem generała Andersa, dyrektorką Muzeum na Zamku, a potem Wojewódzkiego Domu Kultury, radną MRN. Ale nade wszystko była Irena Szychowa społecznikiem.

- Znałyśmy się i przyjaźniły - wspomina Krystyna Nyrka, tamta Krysia dźwigająca dla ojca więzienne paczki, a w latach siedemdziesiątych dyrektorka Liceum Poczto-Telekomunikacyjnego im. Obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku, mieszczącego się na Podwalu. - Pamiętam, jak odpowiadała na jakiś problem. Mówiła po namyśle: wiesz, Krysiu, to trzeba zrobić tak i tak. Zawsze mądrze, rozważnie. Chodziłyśmy po melinach Starego Miasta z nieżyjącym już dziś znajomym księdzem, rozdawaliśmy ciuchy... Urządziłyśmy też świetlicę dla dzieci. Brakuje mi Ireny.

Krystyna Nyrka nie mogła pozwolić, aby skarpa pod kościołem ojców Dominikanów zwała się szkole na głowę. Była jedną z radnych miejskich, kiedy wytypowano ją jako uczestniczkę spotkania kobiet z Edwardem Gierkiem w Warszawie. Na spotkaniu każda z pań o czymś mówiła. Krystyna Nyrka powiedziała o Starym Mieście.

- Przemówiłam tak po prostu, od siebie. Powiedziałam to, co czułam - z trudem zgadza się na osobiste wspomnienie. - Widocznie musiało się spodobać, bo po spotkaniu zaczepiła mnie Halina Czerny-Stefańska i mówi: no to chyba, dziecino, dużo zrobiłaś dla swojego miasta, bo tak pięknie mówiłaś.

Wkrótce Lublin dostał pieniądze na plany rewaloryzacyjne. Wykonano projekty.

- To tyle, co mogłam zrobić dla Starego Miasta - twierdzi skromnie emerytowana dyrektorka szkoły na Podwalu.

Gdyby zapytać dziś Zofię Popiołek, dlaczego jest sołtysiem Starego Miasta, odpowiedziałaby, że to z powodu Ireny Szychowej i Krystyny Nyrki. Bo to one pokazały jej kiedyś, co znaczy praca dla innych.

## **Życie plac ma bujne**

jest co robić. Zofia Popiołek nie może przeboleć, że wiele dzieciaków ze Starego Miasta nie ma szans na wakacje. Od kilku lat chodzi w tej sprawie po prośbie i grupie chętnych udaje się wyjechać latem poza mury. Ma sprzymierzeńca w Marii Gąsiorowskiej, właścicielce sklepu Margos, sponsorowi świątecznych paczek. Spotkał człowiek człowieka. Filozofia pani Marii jest prosta: jeśli mogę się z kimś podzielić, to dlaczego nie. Przyjeżdża o piątej rano, ponieważ to ona jest

zaopatrzeniowcem w tym rodzinnym interesie, a syn mózgiem finansowym. Załatwia najpilniejsze sprawy i patrzy przez okno. Jest pięknie. Młodzi siadają pod lwem albo na ławkach, młode pary fotografują się na zamkowych schodach choćby dla tych widoków warto pracować na placu. Bo handel jest tylko od wiosny do jesieni, zimą zwykle nie ma wycieczek i plac przymiera.

Paweł Bryłowski, ten, który z dzieciństwa pamięta fontannę z jubileuszowej wystawy, został prezydentem Lublina. W tym czasie na plac Zamkowy znów wkroczyły maszyny, aby poddać go gruntownemu odmłodzeniu. Nowy bruk, nowe schody i nastrojowe lampy. Ze skarpy wraz ze starymi krzewami wydarto ciężarówkę kapsli od butelek, zamykając w ten sposób epokę obskurności socjalistycznego Mariensztaciku, jak nazwał to miejsce prezydent Bryłowski. Plac odżył w eleganckim garniturze. A był to zaledwie fragment większego przedsięwzięcia ówczesnej Rady Miejskiej, mającego otworzyć lubelskie śródmieście na życie.

Życie plac ma bujne. Czasem widać, jak jedni wrywają torebki, a drudzy świeżo zasadzone na skarpie tuje. Państwo Wadowscy przeżyli budowę placu, potem kolektora w latach siedemdziesiątych, nieudany remont własnej kamienicy, teraz patrzą, jak spod nowej tapety wyłazi grzyb.

- No i ubaw mamy dość często - śmieje się pan Czesław wspominając wszystkie placowe imprezy. - Niektóra petarda jak huknie, to szyby drżą. Ale naprawdę denerwuje człowieka, jak ludzie załatwiają się na naszym korytarzu albo przy śmietniku. Bo imprezy muszą być. Człowiek wytrzymuje, w końcu nie są codziennie. Przeżyje się nawet, jak wojsko ćwiczy musztrę w nocy.

- Wieczorem, jak słońce zachodzi, to Zamek staje się cały różowy, a szyby świecą mu się jak lampy - mówi Weronika Wadowska. - Każdy, kto do nas przychodzi, zachwyca się: ach, co za piękny widok. Nikt nie ma takiego.